Pogawędka niedzielna

Emeryci

Ciągle utyskujemy, że Polska wlecze się w ogonie państw europejskich. Zimne cyfry ściągają nas z podobłocznych regjonów na ziemię, ukazując, że jesteśmy biedni, źle odziani i sproletaryzowani do ostatnich granic w tem dziwnem państwie kapitalistycznem, gdzie za grosz niema... kapitałów.

Istnieją jednak cyfry, wysuwające nas na czoło Europy. Do takich należą te, które zawierają dane statystyczne emerytur. Z posiedzenia budżetowego Komisji Sejmowej Ministerstwa Komunikacji dowiedzieliśmy się, że w dniu 1 listopada 1935 r. P. K. P. zatrudniało 138.283 pracowników. Równocześnie budżet emerytur tegoż P. K. P. sięgał cyfry 93.790.000 złotych rocznie. Nietrudno wyliczyć więc, że na 130 tysięcy pracujących było przynajmniej 25—30.000 emerytów... Imponująca cyfra!...

Ale nietylko pod względem ilości emerytów Polska kroczy w pierwszym rzędzie. Wyprzedza cały świat również pod względem ich jakości.

Dawniej emeryci snuli się w ciepłe wiosenne dnie po cichych plantach krakowskich. Siwy szczupły pan, podpierając się laską, dreptał sobie wolno od ławeczki do ławeczki. Gdy się mocno zasapał, przysiadał odpocząć, opatulał szczelniej wytartem paltem i uśmiechał do słońca, sączącego się na deptak przez ledwie zaczynające zielenieć gałęzie kasztanów. Po chwili przysuwał się do niego drobnym kroczkiem drugi emeryt i staruszkowie wszczynali rozmowę o dawnych, obowiązkowo dobrych czasach... Znudziwszy się, patrzyli z rozrzewnieniem na bawiące się opodal pucułowate dzieci i kiwali głowami. Kraków zyskał sobie miano miasta emerytów, że to był takim cichym i rzewliwie zadumanym nad przeszłością.

W Warszawie emeryci kryli się po kątach małych, brudnych cukierenek, zasłaniając gazetami, lub spacerowali w parkach i alejach...

Dziś wszystko to należy do dawno zamarłej epoki i próżno szukać emerytów w ustronnych zaciszach. Terenem ich działania jest „Wesołe miasteczko", „Luna-Park", czy „Tiwoli". Emeryci jeżdżą na karuzelach, bujają na huśtawkach, pohukując z zapałem: „U-ha, u-ha!..." Emerytki piszczą przeraźliwie, mknąc wagonikami karkołomnej kolejki „Stu pociech".

..Jakiż to chłopiec piękny i młody!
Jaka to cudna dziewica!
Emerytalne kwitną jagody,
Ich zdrowie — wszystkich za[chwyca".

Takby można powiedzieć o olbrzymiej większości emerytów współczesnych. Są to ludzie czerstwi, zdrowi, rumiani, a najważniejsze — młodzi. Wchodzą w związki małżeńskie, rozwodzą się i rozmnażają z całym beztroskim zapałem młodzików. Szczęście, że godności emeryta się nie dziedziczy, bo za kilka lat znakomita większość naszych emerytów bawiłaby się w piasku, lub łapała w siatkę motyle, igrając niefrasobliwie po łąkach.

Trochę staruszków, snujących się jak cienie z Erebu między młodem towarzystwem, to emeryci, którzy wysłużyli sobie zaopatrzenie w państwach zaborczych. Rząd ma jednak zamiar na prima aprilis uraczyć ich taką odchudzającą kuracją, że wkrótce znikną z tego padołu łez.

A młodzi?

Ci istnieją i istnieć będą, chwała Bogu, jeszcze bardzo długo. Śmiercią naturalną nie zejdą z tego świata, bo są za czerstwi — śmierć gwałtowna na szczęście nie grozi im również, bo nie należą do Ubezpieczalni Społecznej i Kasa Chorych nie rozprawi się z nimi w tempie przyspieszonem.

Istnieją i będą istnieć... I tu kończą się żarty, a... „incipit tragoedia". Tragedja zarówno społeczna jak indywidualna poszczególnych emerytów. Państwo i społeczeństwie musi ich utrzymać, a nie posiada na to funduszów. Rząd przyznaje rację posłom, ujmującym się za krzywdy emerytów, lecz na wszystkie argumenty odpowiada:

— Nie mam pieniędzy!

Możnaby wprawdzie zapytać:

— A pocoście panowie namnożyli tych emerytów?

Pytanie to jednak wchodziłoby w kolizję z państwowo - twórczemi ideałami i wogóle byłoby retoryczne, bo postawione przynajmniej o dziesięć lat zapóźno.

Skoro więc pytanie nie rozstrzyga kwestji w najmniejszym stopniu, pozostawmy je w spokoju i wracajmy do rzeczy.

Emerytami państwowymi zajmą się miarodajne czynniki: Sejm i Rząd (aż mnie ciarki przejmują na myśl o tem), dla samorządowych stworzy się specjalny urząd centralny (nową niejako Kasę Chorych), gdzie przy jakiej takiej protekcji wielu z nich znajdzie posady. Pozornie więc cała sprawa zostanie załatwiona. Oczywiście na głodno i chłodno, bo trudno o inne wyjście w kraju golców doskonałych.

Na nieszczęście prócz strony oficjalnej zagadnienie emerytów posiada stronę społeczną.

Któryś z ministrów oświadczył w przemówieniu sejmowem, że obecnie mamy około dwóch miljonów młodzieży w wieku od lat szesnastu do dziewiętnastu i że liczba ta wzrośnie w najbliższem pięcioleciu o miljon!..

Proszę sobie wyobrazić jaki to olbrzymi napór na rynek pracy, jaka to szalona ofenzywa na pozycje zajmowane przez starszych... Młodzi będą się garnąć do pracy we wszystkich dziedzinach, a więc również na stanowiska inteligencko - kierownicze. I właśnie na tym odcinku spotkają się z emerytami.

Jako pracownik umysłowy koleguję coraz częściej z emerytami w prywatnych zakładach. Nic w tem dziwnego. Ci ludzie — pełni sił i chęci do pracy — poprostu nie mogą być bez zajęcia. Źle się czują psychicznie.

Kiedyś rozmawiałem na ten temat z jednym z kolegów.

— Czemu pan pracuje? — spytałem go.

— Przez rok nie pracowałem, lecz popadłem w taką depresję, że postanowiłem bodaj za grosze wziąć się do jakiejś roboty. Pan nie ma pojęcia, jak się czuje człowiek zdrowy, gdy go wyrzucą poza nawias ludzi twórczych.

Muszę zaznaczyć, że był to człowiek pobierający pełną emeryturę wyższego wojskowego. A iluż jest takich, którym emerytura nie wystarcza? Tych do pracy zmuszają poprostu warunki życia.

Zarówno jedni jak drudzy jako konkurenci są bardzo groźni. Dzieje się to z dwóch powodów. Przedewszystkiem, traktując do pewnego stopnia zajęcie jako rozrywkę czy zabicie nudów, przyjmują bodaj najlichsze wynagrodzenie. Zrozumiałe, że chlebodawcy chętnie widzą wśród swoich pracowników takich małowymagających potulnych ludzi. Jeśli przedsiębiorca ma do wyboru jakiegoś młodzieńca i emeryta, zawsze przy angażowaniu przechyli się na stronę tego ostatniego... I to nietylko ze względu na mniejsze wymagania, lecz dlatego, że emeryt góruje nad świeżo angażującym się swojem doświadczeniem, nie mówiąc już o... protekcji.

Wysłużony pan z niejedną personą wypił już kilka kolejek, wycałował się przy bruderszafcie, niejednemu zafundował kolację lub obiad. Młody jeszcze nie nawiązał stosunków, jeszcze dobrze i po staropolsku nie „popił". Nie spowodu „niechęci", lecz spowodu „forsy brak"...

Perspektywy więc dla młodych nieciekawe. I w tem znaczeniu kwestja emerytur nie da się załatwić jedynie między Rządem a jego byłymi funkcjonarjuszami, lecz nabiera cech, obchodzących całe społeczeństwo. Jesteśmy za biedni, żeby utrzymywać olbrzymią armję ludzi wysłużonych, musimy więc zmniejszać ich pobory. Zmniejszając pobory, popychamy ich do tego, że, chcąc nie chcąc, muszą dorabiać, a tem samem stawać się groźnymi konkurentami dla młodzieży złaknionej pracy.

Jan Wiśniewski

Z muzyki

Koncert symfoniczny
na rzecz młodzieży akademickiej

Piękny to gest ze strony Zarządu Filharmonji Warszawskiej przeznaczenie całkowitego dochodu z piątkowego koncertu na rzecz akademików. Pytanie tylko, jaką korzyść materjalną będzie miała nasza młodzież z koncertu, na którym było więcej palm niż publiczności.

Zachodzi również pewna wątpliwość: czy akademicy będą musieli brać udział także w pokrywaniu deficytu owego dobroczynnego koncertu.

Może Pan Minister W. R. i O. P., który był naocznym świadkiem opłakanego stanu frekwencji na przeciętnym koncercie w Filharmonji wyciągnie z tego odpowiednie konsekwencje, przekonawszy się osobiście jak wygląda rzeczywistość we współczesnej muzyce polskiej. Niema bowiem w społeczeństwie naszem żadnego zainteresowania twórczością młodych kompozytorów.

Cóż powiedzieć o programie tego niefortunnego koncertu i jego wykonawcach? Że w dużej części przyczynili się oni do wywołania nieufności wśród publiczności.

Druga symfonia Lefelda przypominała starą zardzewiałą armatę. Szkoda, że jej autor, który tyle umie, taką posiada technikę wiedzę i potrafi dobrze instrumentować niema za grosz własnej indywidualności i cienia czegoś oryginalnego. W rezultacie powstaje przyzwoita muzyka, nie pozbawiona dobrego smaku i wyczucia artystycznego, ale będąca kopją twórczości Czajkowskiego, Karłowicza i Statkowskiego. Dobre naśladownictwo i tyle.

Suita koncertowa Bolesława Woytowicza przekonała nas raz jeszcze o wysokich walorach muzycznych tego poważnego kompozytora.

Koncert skrzypcowy M. Karłowicza „wypiłowała" wspólnie z orkiestrą Irena Dubiska.

Kazimierz Wiłkomirski w roli kapelmistrza jest dobry. Oczekujemy ciągle od niego jakiegoś zdecydowanego czynu, świadczącego o definitywnym podciągnięciu się i zajęciu przez niego stanowiska czołowego polskiego dyrygenta. Orkiestra nasza powinna się także starać o utrzymanie pewnego stałego poziomu artystycznego, a nie tylko od parady, wtedy, kiedy przyjeżdżają berlińscy filharmonicy lub Bruno Walter.

Na zakończenie programu grał utwory Chopina Józef Turczyński, robiąc wrażenie pianisty, który jest w dobrej formie jedynie wtedy, kiedy jest zagranicą.

Michał Kondracki.

Na ekranach

„OSKARŻAM CIĘ, MATKO!"
w kinie „RIALTO"

Nie przerażajcie się tytułem, jakby żywcem wziętym z brukowej powieści. Ten tytuł to ustępstwo na rzecz wymagań sensacyj, na rzecz tej części publiczności, która stroni od prawdziwie artystycznych filmów europejskich i woli standardowe, amerykańskie dramaty i komedje.

Prawdziwy tytuł tego świetnego filmu brzmi: „La Maternelle" („Ochrona"). Tytuł jest słuszny i szczery. Ten film — to życie francuskiej ochronki, środowisko i jego obraz jest tu ważniejsze niż akcja i w tem właśnie tkwi urok nowości, jaki film reżyserji Jean Benoit Levy wnosi na ekran.

Jean Benoit jest wśród reżyserów osobliwością. Unika atelier — jego studio filmowe jest ulica, wieś, jego aktorami — pięcioletnia dzieciarnia bawiąca się w ochronce, albo mieszkańcy ubogich uliczek robotniczej dzielnicy. Metoda Benoit polega na autentyczności, dokumentarności zdjęć w których czynnikiem wprowadzającym ład artystyczny, jest przedewszystkiem nie inscenizowanie scen przez reżysera, lecz ich układ w całość, ich montaż.

Zdawałoby się, że ten system pracy, może doprowadzić do monotonności filmu — realizm rzadko bywa ciekawy, najczęściej jest trywjalny i nudny. Tem jednak, co wyróżnia film J. Benoit, jest doskonałe zrośnięcie realizmu obrazu z jego wartościami filmowemi. W obrazie niema szczegółów martwych — wszystko co widzimy w kwadracie ekranu, jest równocześnie i prawdziwe, i ciekawe, i fotogeniczne. W fotografowanej przez Benoit ochronce niema tłumu statystów, są tylko aktorzy, ponieważ każde z dzieci jest indywidualnością i odrębną postacią. Gdy Benoit daje zdjęcie z sali ochronki — każde dziecko ma swą własną akcję, każde dziecko gra i w ten sposób powstaje obraz życia dzieci, a nie zdjęcie sceny z główną bohaterką na tle statystów.

Wrażenie, jakie odnosimy z „La Maternelle", jest pełne świeżości. „La Maternelle" stanowi wyraźne przełamanie filmowego konwenansu i okazuje się, że pokazanie w filmie charakterystycznego środowiska jest znacznie ciekawsze od dramatów, rozstrzygających się według zamówionych scenarjuszy.

Można zgóry odgadnąć, że w filmie J. Benoit najsłabsze będą właśnie sceny konwencjonalne, przeznaczone dla zarysowania akcji. Wina tu także zbyt jaskrawej tendencji, która z przesady podkreśla kilka momentów filmu.

W ochronce chowa się dziecko prostytutki — 9-letnia jej córeczka może się zmarnować, porzucona przez matkę, a może również rozkwitnąć jak kwiat, jeżeli otoczy się ją miłością. Stąd też film jest apologją miłości i dobroci dla dzieci. Mała jego bohaterka grana jest przez równie małą, ale już dojrzałą tragiczną artystkę (Paulette Elambert), przy której słynna Shirley Temple robi wrażenie rozkapryszonego dzieciaka, czekającego na cukierki. Główną rolę kobiecą gra artystka komedji francuskiej Madeleine Renaud doskonała w charakteryzacji i w ogólnem postawieniu roli nieco zaś przesłodzona w kilku fragmentach.

Oryginalność konstrukcji scen jest uderzająca. Moment samobójstwa porzuconej dziewczynki może służyć za wzór opracowania reżyserskiego. Krótko mówiąc, przy niewątpliwych usterkach, wynikających z ubiegania się o realistyczne efekty, film jest tak nowy i twórczy, że każdy powinien go zobaczyć.

Z B

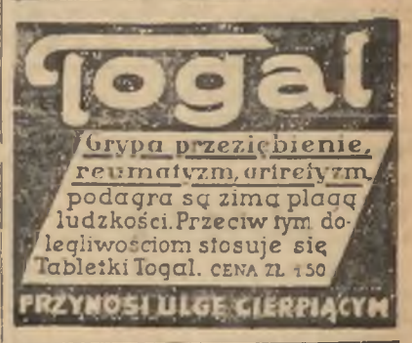

„KAPITAN BLOOD"
w kinie „Atlantic"

Stęskniliśmy się już do filmów takich, jakiemi swego czasu ściągał do kin tłumy Douglas Fairbanks. Dźwiękowiec wymaga dziś inego rodzaju popisu od aktora niż film niemy, to też obecnie zbiera oklaski przedewszystkiem aktor charakterystyczny, a zanikł w pewnej mierze dawny ideał wysportowanego i śmiałego poszukiwacza przygód. Wskutek dźwiękowca zniknął także z ekranu pełen plastyki wzrokowej świat filmów awanturniczych. Dopiero w ubiegłym sezonie przypomniała go nam „Wyspa skarbów", teraz zaś możemy się cieszyć efektowną opowieścią filmową o przygodach kapitana Blooda.

W odważnego bohatera powieści R. Sabatiniego wciela się Erroll Flynn, aktor pełen temperamentu, mogący śmiało ubiegać się o tytuł następcy Fairbanksa. Akcja rozgrywa się na Jamajce, na morzach południowych, w kazamatach skazańców, na pokładach korsarskich okrętów. Kpt. Blood walczy, dostaje się najpierw do niewoli, potem odzyskuje wolność, toczy korsarskie boje, zwycięża, wraca do ojczyzny i triumfuje. Powstał z tego film o żywym rytmie, zrobiony z rozmachem, ozdobiony pięknemi egzotycznemi plenerami i wolny od zbytecznej gadaniny. Całość przypomina najlepsze czasy filmu niemego. Oczywiście taksamo jak powieść Sabatiniego nie ma pretensji do większych wartości artystycznych i film nie wykracza poza to, co mogło dać przeniesienie na ekran dobrze napisanej historji przygód.

Z B

Obowiązek zgłaszania wypadków
przy pracy

Sąd Najwyższy orzekł, że przedsiębiorca lub kierownik zakładu pracy obowiązany jest donieść władzy administracyjnej w ciągu 5-ciu dni o każdym nieszczęśliwym wypadku, jaki wydarzył się w przedsiębiorstwie, podlegającem obowiązkowi ubezpieczenia pracowników od wypadków.

Od obowiązku tego nie uwalnia przedsiębiorcy lub kierownika zakładu pracy przysługujące pracownikowi lub pozostałej po nim rodzinie prawo zwrócenia się w ciągu roku bezpośrednio do zakładu ubezpieczenia od wypadków (obecnie do Ubezpieczalni Społecznej) o przyznanie renty za nieszczęśliwy wypadek.

Zaniedbanie doniesienia nakłada na przedsiębiorcę lub kierownika przedsiębiorstwa obowiązek wynagrodzenia szkody, wynikłej z nieotrzymania renty wypadkowej przez osobę uprawnioną do niej.

KAPELUSZE HÜCKLA
J. MŁODKOWSKI
Plac 3 Krzyży 18
Marszałkowska 92

Z plastyki

Wystawa „Bloku" w IPSie

Główny trzon „Bloku Zawodowych Artystów Plastyków" stanowią stowarzyszenia artystyczne, powstałe na terenie Warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych i znane już wszystkim ze swej dotychczasowej działalności. Do najstarszych należą: „Bractwo Św. Łukasza", „Ryt", „Ład" i „Forma" (rzeźbiarze), trochę młodszą jest „Szkoła Warszawska", jeszcze młodszą — „Loża Malarska", a już zgoła noworodkiem — „Czerń i Biel", stowarzyszenie najmłodszych grafików, które niedawno wystąpiło z bardzo udanym debiutem w Zachęcie. Oprócz tego należą do „Bloku" artyści wileńscy, zrzeszeni w „Wileńskiem Towarzystwie Art. - Plastyków", oraz szereg plastyków niestowarzyszonych.

Tak więc w „Bloku" znaleźli się artyści, reprezentujący wszystkie działy plastyki: malarstwo, rzeźbę, grafikę, architekturę wnętrza. Ten stan rzeczy odpowiada ideologji „Bloku", który żadnej z dziedzin sztuki nie chce wysuwać przed inne, jednako pojmując rolę wszystkich w budowie kultury narodu. Odbyte przed obecną wystawą „Bloku" w IPS-ie, pokazy dorobku „Ładu" i grafiki „Rytu" (w grudniu) łączą się z nią ideowo i stanowią jej uzupełnienie.

Dla uzupełnienia tych informacyj należy dodać, że katalog Salonu „Bloku" podaje spis członków związku w liczbie 158 osób, z których 90 bierze udział w wystawie obecnej. Muszę zaznaczyć, iż przygotowywane na jesień wystawy rzeźby i „Bractwa Św. Łukasza" ograniczyły, do pewnego stopnia, udział i liczbę prac członków „Formy" i „Bractwa" w obecnym Salonie „Bloku".

Nie mam zamiaru kusić się o skreślenie jakiejś efektownej ideologji „Bloku", bo wiem, że zadaniem plastyków jest praca w swym zawodzie, a nie wygłaszanie manifestów. Tem niemniej pragnąłbym zwrócić uwagę na pewne dążenia i poglądy artystów tu zrzeszonych. Obserwując coraz większy rozdźwięk między wytwórcą, a odbiorcą sztuki, plastykiem, a społeczeństwem, stwierdzając pogłębianie się tego rozdźwięku, nie tylko z winy społeczeństwa i niskiego poziomu jego kultury plastycznej, plastycy „Bloku" wskazują na przyczyniające się do tego, niesłuszne stanowisko wielu współczesnych artystów. Bowiem rozdźwięk, o którym mowa, wynika w równej mierze i z winy malarzy, którzy się grzebią w zagadnieniach zbyt specjalnych, malując właściwie dla siebie tylko i swych kolegów po fachu, częstują mimo to podobnemi pracami publiczność i dziwią się potem jej obojętności. My sobie, a wy sobie.

Ten stan rzeczy, to umieszczenie plastyka i jego pracy poza obrębem potrzeb i zainteresowań kulturalnych społeczeństwa, nie może być obojętne żadnemu artyście, który, narówni z innymi, pragnie być pożytecznym dla swego kraju i chciałby, by potrzebę jego pracy odczuwano. Konieczność zmiany obecnego stanu rzeczy stwierdzają już nawet ci, którzy się do niego swą działalnością w znacznej mierze przyczynili.

„Tęsknimy dziś za tematem, za człowiekiem w obrazie"... pisze żydowski krytyk w piśmie, które bardzo gorliwie popierało sztukę jaknajbardziej wypraną z tematu.

„Było czego artyście malować nie wolno. Sztuka polska winna tworzyć dzieła, odpowiadające roli, którą Rzeczpospolita od wieków w historji Europy odgrywa, oddające jej postać i jej oblicze. Sztuka polska, jako sztuka narodu katolickiego, powinna być w Europie tem, czem Polska była zawsze: przednią placówką Zachodu".

Kto to pisze? Nie żaden endek, tylko drugi Żyd (Waldemar George), który przez długi czas popierał sztukę abstrakcyjną, ale teraz zwąchał pismo nosem i gwałtownie się robi „na katolika".

Tak tedy powrót tematu, jeszcze tak niedawno wyszydzanego („ułan i dziewczyna"), nie ulega najmniejszej wątpliwości. Trzeba także poruszyć inną sprawę, wobec której plastycy z „Bloku" zajęli również niedwuznaczne stanowisko. Jest nią zagadnienie kontaktu między różnorodnemi kulturami plastycznemi. Przenikanie się wzajemne tych wartości da się ugrupować w trzech gradacjach: nauki, wpływu i naśladownictwa. Nikt nie kwestjonuje pożytku nauki u dobrego nauczyciela. Ale właściwie pojęta nauka polega na podpatrywaniu cudzych metod, a nie kopjowaniu rezultatów. Wpływy są rzeczą ludzką i każdy artysta, w mniejszym, lub większym stopniu, im podlegał. Ale naśladownictwo, jako świadome i dobrowolne rezygnowanie z chęci kształtowania własnej indywidualności należy uznać za objaw wysoce szkodliwy. „Blok", zarzucając pewnej grupie naszych malarzy zbytnie uleganie tym prądom malarskim, które są objęte nazwą tak zwanej „szkoły paryskiej", nie chce bynajmniej jednocześnie wznawiać, iż sam jest bez grzechu. Ale między dwoma artystami, z których jeden naśladuje świadomie i uważa, że zadaniem malarza jest imitować najlepsze, według niego wzory, a drugim, który ma ambicję oczyszczenia swej sztuki z nadmiernych wpływów — jest jednak olbrzymia różnica. Wszyscyśmy grzeszni potrosze, należy okazać, przynajmniej, szczerą chęć poprawy.

Najlepsze i najciekawsze prace na Salonie „Bloku" uwzględniają w temacie człowieka i pragną rozbudowywać swą wizję artystyczną, bez jednostronnego ograniczania się w swych zadaniach do pewnych tylko zagadnień plastycznych (np.: koloru, lub faktury). Są to przeważnie dzieła najmłodszych uczestników Salonu, toteż na ich nazwiska, nie wszystkim jeszcze znane, zwracam przedewszystkiem uwagę czytelników. A więc Jeremi Kubicki łączy szczęśliwie w swych pracach zagadnienia kompozycji, koloru i faktury. Stefan Płużański podejmuje nieraz zadania b. trudne (np. „Kawiarnia") i przy nad wyraz rzetelnej technice, nie zaniedbując koloru, daje obrazy o wybitnych wartościach dekoracyjnych i zdecydowanym wyrazie. Także Mieczysław Szymański, przy bardzo rozwiniętej tematyce swego obrazu, wypowiada się środkami malarskiemi wysokiej klasy, posługując się przytem techniką subtelną i perfidną. Wymienić pozatem należy bardzo szlachetne i skupione w wyrazie i kolorze studjum portretowe Janiny Knothe - Rakowej i dobry portret Marty Podoskiej.

Ze starszej generacji „łukaszaków" prym wiodą na wystawie: Jan Gotard, coraz bardziej irrealny w swych dociekliwych badaniach kształtu ludzkiego i Bolesław Cybis, ze swą „Primawerą", dziełem nasyconem przedziwną nostalgją, w którem autor pragnął podkreślić zatajony wdzięk tematów banalnych. Wielki obraz Michalaka, obok niesłychanie przykrej i lekkomyślnej kolorystyki, ma jednak dużo szlachetnego patosu, o pokroju monumentalnym.

Dobry dział grafiki i niezgorzej obesłana rzeźba wymagają oddzielnego omówienia.

Wiktor Podoski.